

Mołdawia. Jak umiera raj – 3

9 listopada 2016

Piotra Włacha, byłego deputowanego do parlamentu w Kiszyniowie, na początku naszego spotkania proszę o podsumowanie 25 lat niepodległego państwa mołdawskiego. Co wam się nie powiodło, a co udało się jednak osiągnąć, pytam, po raz ostatni wyrażając złudzenie, że tutejsza klasa polityczna przez te ćwierć wieku zrobiła jednak cokolwiek pozytywnego. Mój rozmówca takich złudzeń nie ma. Nie jest właściwie pewien, czy mówienie o niepodległości w odniesieniu do jego kraju ma sens. Czy w niepodległym państwie, zastanawia się Włach, jak w Mołdawii, panuje prawo dżungli, a wszystkie instytucje pracują na jednego człowieka?



Piotr Włach jeszcze jako parlamentarzysta.

Piotr Włach, dla rumuńskojęzycznych Petru Vlah, w tej dżungli znalazł się po niewłaściwej stronie. Nie wie zatem, czy może nadal określać się jako polityk. Był nim z pewnością w latach 2010-2014, gdy z ramienia Liberalno-Demokratycznej Partii Mołdawii, tej, której przewodniczył Vlad Filat, zasiadał w mołdawskim parlamencie. Zajmował się prawami człowieka i stosunkami międzyetnicznymi, do czego ma niejako predyspozycje – jest z pochodzenia Gagauzem, zna trzy języki.

Tyle, że jego partia zależała całkowicie od osoby lidera. Kiedy Filat był potężny, a przynajmniej się takim wydawał – liczyła 63 tys. członków. Gdy tylko stało się jasne, że przegrywa walkę o wpływy z Vladimirem Plahotniukiem, zaczęła się chwiać. Wreszcie został pozbawiony immunitetu i w teatralny sposób doprowadzony do aresztu, a partia poszła w rozsypkę. Legitymacji nie rzuciło zaledwie 7 tys. członków, ostatnich rozbitków formacji, która niegdyś współtworzyła Sojusz na rzecz Integracji Europejskiej.

Mój rozmówca nie robi już sobie większych nadziei związanych z polityką na szczeblu krajowym. Będzie działał w samorządzie rodzinnego Komratu, gdzie jest od roku, po raz drugi, radnym, zajmie się swoim biznesem. Stacja benzynowa, na której zresztą się spotykamy, rokuje nieporównywalnie lepiej: stoi przy drodze wyjazdowej w stronę Kiszyniowa, głównej trasie łączącej autonomiczną Gagauzję ze stolicą, w dodatku nad jeziorem, gdzie miejscowi lubią wypoczywać.

A gdybym zapisał się swojego czasu do Partii Demokratycznej, jak mój stary przyjaciel, wzdycha były deputowany, wszystko byłoby zupełnie inaczej. Po skandalu z wyprowadzeniem miliarda dolarów z mołdawskiego systemu bankowego każdy Mołdawianin wie, że posiadacz legitymacji PDM może robić, co mu się żywnie podoba. A program demokratów liberalnych i tych bezprzymiotnikowych nigdy się zasadniczo nie różnił. Tu i tam – integracja europejska, odmieniana przez wszystkie przypadki, równocześnie środek, cel i uzasadnienie dowolnych inicjatyw. Dziwnym trafem zawsze jednak takich, które pasowały nielicznej warstwie oligarchów, nigdy zaś nie przynosiły wytchnienia społeczeństwu po szoku, jakim była dla niego transformacja.

Zastanawiam się później, ilu działaczy i aktywistów proeuropejskich partii naprawdę rozumiało, jakie plany ma Europa w związku z ich krajem. Zaklinali tylko rzeczywistość, wierząc, że skoro UE przyjęła tak bliską im Rumunię, to musi pójść jeszcze dalej. Życzeniowe myślenie nie ograniczało się zresztą tylko do Mołdawian zaangażowanych politycznie. W 2004

r. 68,4 proc. obywateli spodziewało się przyjęcia do europejskiej rodziny, co pojmowali zresztą przede wszystkim (a może tylko) jako zniesienie ograniczeń w wyjazdach zarobkowych na zamożny Zachód. 30 proc. było przekonanych, że nastąpi to w ciągu najbliższej dekady. Tymczasem już w latach 2006-2007 Unia Europejska dała do zrozumienia, że nie będzie rekompensować strat ponoszonych przez Mołdawię w związku z rosyjskim embargiem na tamtejsze wino i podniesieniem cen gazu. Z wypowiedzi polityków z Brukseli i Berlina można było wyczytać, że państwa takie jak Mołdawia zawsze będą podejrzane, czy o „niedostatek demokracji”, czy o „niepodzielanie europejskich wartości”. Mołdawia miała oddalić się od Rosji, jak tylko się da, stracić największy rynek zbytu w zamian za symboliczne korzyści nazywane „pomocą strukturalną”. Z tym, że europejscy decydenci nie mogli nie wiedzieć, że pomoc ta zostanie rozdrapana przez oligarchów. Nie mogli nie słyszeć, że sponsor Partii Demokratycznej Plahotniuc bogacił się nie tylko na eksporcie wina i tworzeniu mołdawsko-amerykańskiego funduszu inwestycyjnego, jak głosi oficjalna biografia. Na początku lat 90. Plahotniuc był specjalistą od resocjalizacji w mołdawskim odpowiedniku zakładu poprawczego. O tym, że zamiast resocjalizować, zajmował się handlem nieletnimi dziewczynami, pisały nie tylko media w Kiszyniowie, ale i „New York Times”.



Opuszczony kołchoz w okolicach Ceadir-Lunga.

Piotr Włach wątpi, czy w ogóle warto mówić o Mołdawii jako o niepodległym państwie. Tu panuje prawo dżungli, co to za niepodległość? A jeśli jednak przyjmujemy, że państwo istnieje, to jego instytucje służą jednemu człowiekowi. Vlad Plahotniuc dzięki kontroli nad prokuraturą i sądami dba, by zainteresowanie organów ścigania szło w odpowiednim kierunku. Nieograniczone wpływy w sektorze bankowym i finansowym pozwalają mu pomnażać dalej pomnażać majątek. Panując nad mediami, może w nieskończoność dostarczać społeczeństwu tematy zastępcze. Na razie Plahotniuc nie przejmuje się nawet tym, że Mołdawianie, w gruncie rzeczy, już ten mechanizm znają i rozumieją, wiedzą, kto w kraju pociąga za sznurki – i nienawidzą go. Może spać spokojnie, póki powszechne jest poczucie, że buntować się nie ma po co i nie ma z kim. Przeciętny Mołdawianin, mówi Włach, nie ufa już żadnym politykom – nieważne, czy to rząd, czy opozycja. Fakt, wiosną tego roku manifestowało w Kiszyniowie nawet 20 tys. ludzi, w tym owi rozbitkowie z PLDM, którzy widzą jeszcze dla siebie miejsce w polityce i wierzą w odzyskanie zaufania wyborców. Owszem, w ostatnich wyborach wygrali socjaliści, a w najbliższych wyborach prezydenckich, jeśli nie dojdzie do fałszerstwa, ogromne szanse ma ich lider Igor Dodon. Ale podstawowa reakcja na mołdawską degrengoladę to nadal szukanie szczęścia za granicą.

Piotr Włach próbuje wyliczyć, ilu Mołdawian tak naprawdę, nie według oficjalnych, wygładzonych statystyk porzuciło już swój zrujnowany kraj, a ilu, też jak rozbitkowie, egzystuje na marginesie i w najbliższej przyszłości też może podjąć decyzję o wyjeździe. Spis ludności z 1989 r. dał wynik 4 mln 335 tys. mieszkańców. Obecne dane urzędowe to niecałe trzy miliony – nie warto im wierzyć, mówi polityk, naprawdę obywateli w Mołdawii jest jeszcze mniej. Do tego 800 tys. bezrobotnych, też po realistycznym przefiltrowaniu rządowych zestawień.

Większość tych, którzy wyjechali, nigdy nie wróci. To

oczywiste w przypadku tych, którym się jako tako udało. A i ci, dla których zostały najpodlejsze zajęcia, w tym, jak w przypadku wielu kobiet, prostytutka, zdają sobie sprawę, że na ich wypłatę w obcej walucie czeka w Mołdawii kilka osób. Cała rodzina. O ile ta rodzina w międzyczasie się nie rozpadła, bo co to za małżeństwo, rozkłada ręce były deputowany, w którym żona pracuje w jednym kraju, mąż w drugim, a dzieci zostały ze starszym rodzeństwem, z dziadkami albo w ogóle same (kto w Mołdawii sprawdzałby takie rzeczy?). Włach pogodził się z tym, że jego syn, który mieszka w Stanach Zjednoczonych, jest jednym z tych, co do Mołdawii nigdy nie wrócą. Niech już zostanie w tamtym świecie, który rozumie i który dał mu jakieś szanse na normalne życie. Jego rówieśnicy, dawni koledzy, w większości są na dnie. Uzależnieni od alkoholu i mocnych narkotyków, niektórzy bezdomni, inni chorzy. Coraz niższy jest wiek przeciętnego mołdawskiego młodocianego przestępcy. Jeśli nic się nie zmieni, to porozrywane społeczeństwo czeka dosłowny, biologiczny koniec.



Pomnik Lenina i ulica Lenina w Komracie mają się dobrze. To widać, kiedy opuszczamy z moimi przewodnikami stację benzynową Piotra Włacha i jedziemy dalej na południe. Stolica Gagauzji, blisko 24-tysięczny Komrat, tylko w centrum wygląda jak prawdziwe miasto, przynajmniej tak, jak zwykliśmy je sobie wyobrażać, z kawiarniami, parkiem, piętrową zabudową.

Wystarczy odjechać kilkaset metrów dalej i zaczynają się niskie domy, tonące w zieleni ogrodów, porośnięte winoroślą, niektóre drewniane, inne były jak wymurowane. Ubogie, czasem rozpadające się; piękne ludowe rzeźbienia nie są w stanie tej nędzy zamaskować. Potem, bez żadnej tablicy zapowiadającej koniec miasta urywają się też te domy i regularne, zaczynają się pola, na przemian z winnicami, bo to tutaj wytwarzana jest większość win, które za granicą są jedną z nielicznych dobrych rzeczy powszechnie kojarzonych z Mołdawią. Tutaj, między Komratem a Ceadir-Lunga i jeszcze dalej na południe, wśród zielonych wzgórz rozświetlanych zachodzącym słońcem naprawdę widać, że nie przesadzają ci, którzy mówią o dawnej republice-sadzie i o tym, że była kiedyś w Mołdawii namiastka raju na ziemi. W centrum Komratu pozornie trwa konflikt o panowanie nad rajem, bo z jednej strony głównej ulicy stoi pomnik Lenina, a drugiej – jaskrawożółty prawosławny sobór św. Jana Chrzciciela. Konflikt pozorny, w rajach umierającym jest miejsce dla jednego i drugiego. Lenin przypomina, że był czas, kiedy żyło się tu lepiej. Cerkiew daje tym, którzy zechcą uwierzyć, nadzieję, że lepsze życie dopiero czeka na sprawiedliwych. Razem, nie wykluczając się nawzajem, uosabiają nadzieję, że niezależnie od wszystkich złych słów, jakie płyną pod adresem Rosji z Kiszyniowa, mocarstwo ze wschodu kiedyś jeszcze wyciągnie rękę do niezmiennie rusofilskich Gagauzów. Razem pozwalają przez jakiś czas nie myśleć, że to, co najlepsze, już dla Mołdawii minęło i może nigdy nie wrócić.

Różne tematy przewijają się w rozmowie, jaką prowadzę po drodze z Andriejem (Mołdavianinem) i Anastazją (Gagauzką), którzy towarzyszą mi w podróży do Komratu. Powraca Vlad Filat – po rozmowie z Piotrem Włachem moi towarzysze nie mogą się zgodzić, czy lider liberalnych demokratów był zwykłym aferzystą, czy jednak miał, w porównaniu z innymi krajowymi politykami, jakieś wyjątkowe talenty. Nie mogą również, już po powrocie do Kiszyniowa, nie pokazać mi więzienia, w którym Filat czeka teraz na proces. Skrzą się w powietrzu stereotypy i żarty na temat Gagauzów, kąśliwe, czasem same sobie

przeczące, malujące lud z południa Mołdawii jako ludzi porywczych i groźnych, niszczących wszystko wokół siebie, zdolnych co najwyżej do produkcji wina. Wreszcie na horyzoncie pojawia się geopolityka, stosunki międzynarodowe, szukanie podobieństw między dzisiejszą Mołdawią i Polską sprzed piętnastu lat, a wreszcie wątek, jak się okazuje, wspólny dla mediów w obu krajach: straszenie rosyjską inwazją. Jeśli by jednym i drugim mediom równocześnie uwierzyć, zarówno Kiszyniów, jak i Warszawa są bezpośrednio zagrożone rosyjską agresją. Jednak i tutaj, i tutaj znaleźliby się ludzie gotowi własnymi rękami bronić ojczyzny, tak dobrze pamięta się zło wyrządzone niegdyś przez Rosjan.

– Wie pani, jak naprawdę zareagowaliby Mołdawianie, gdyby Putin wjechał do Kiszyniowa? – pyta Andriej. – Powiedzieliby: sława Bogu! Nieważne, co większość mówi w sondażach, kiedy pytają o Europę albo o Rosję. Ludzie nienawidzą oligarchów, a Plahotniuka najbardziej. Sami nie są w stanie się zorganizować i ich przepędzić, ale byliby szczęśliwi, gdyby ktoś to zrobił. Albo przynajmniej napędził im stracha.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Zdjęcia: Wikimedia Commons (1) i Agatha Rosenberg (2, 3)

Źródło: Strajk.eu